



Dałaj

Lama

Część 1

Wacław Sieroszewski

Wacław Sieroszewski

Dalaj-Lama

OM-MANI-PHADME-CHUM

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Wacław Sieroszewski
„Dalaj-Lama”

Copyright © by Wacław Sieroszewski, 1935
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Zakłady Graficzne „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy
Wydawnictwo: Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”
Warszawa, 1935

ISBN: 978-83-8119-403-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I.

Czerwona zorza gasnącego dnia i ruda łuna płonącego miasteczka zlały się w jedną wielką, krwawą chmurę, wiszącą nisko nad płaskim, bladym brzegiem szerokiej rzeki.

Zwichrzone słupy czarnych dymów pożogi były wgórze i rozwłóczyły się brudnymi żyłami po wachlarzu ognia, sięgając aż purpurowych podbrzuszy siwych, ciężkich obłoków, zastygłych nieruchomo nad widnokrzem.

Między tym brzegiem, pełnym posępnych blasków, niespokojnych błysków, bolesnego ruchu oraz dzikiej wrzawy ludzkiej i trzasku strzałów karabinowych, a brzegiem przeciwnym — cichym, wyniosłym, urwistym, czarnym i kosmaczym od porastających go lasów — sklepiły się wysoko cudnym stropem blado-szafirowe sybirskie niebiosa wiosenne ze źrenicami nielicznych, srebrnych gwiazd, łagodnie przebijających gęstniejącą zasłonę nocy.

Środkiem z jednostajnym szmerem sunęła metalowa wstęga rzeki, odbijająca z tą samą wyrazistością karmazyn zachodu, ognie pożaru, cienie lasów i seledynowe mrugania gwiazd...

Nagle zwierciadło wód jakby drgnęło, uderzone potężnym wybuchem ludzkich okrzyków i wzmożonym łoskotem salw... Różańce błyskawicznie zapalających się i gasnących ogników załyskały tuż nad wodą wzdłuż całego brzegu, na nurtach tu i tam zaczerniały roje punkcików. Kule gęsto zapluskały wśród nich, wyrzucając wytryski wody.

Nikły i rozsiewały się czarne punkciki, wiele z nich popłynęło z wodą i tylko kilka sunęło dalej wpoprzek koryta ku lesistym

brzegom.

Czarne, milczące, dzikie urwisko, — państwo chłodu i głodu, schronisko niedźwiedzi i tygrysów wydawało się w tej chwili uciekającym przez rzekę czarowną krainą spokoju i bezpieczeństwa.

Wyteżali wszystkie siły, aby zwyciężyć gwałtowny prąd i ująć coperdziej przed śmigającym za nimi biczyskiem kul, oraz okropnemi widziadłami, tylko co oglądanych scen.

Pierwszy dobił brzegu i z trudem zaczął się gramolić na mulasty przyczótek podmywiska młody chłopak w zielonawej koszuli żołnierskiej, podpasany pasem z ładownicami, ale bez broni. Jedną ręką schwycił za frendzle korzeni drzewnych, wypłukanych z brzegu przez deszcz, kolano wparł w bagnisty grunt, podczas gdy drugą ręką starał się pociągnąć za sobą przedmiot duży i ciężki, który dotychczas, płynąc, dźwigał na plecach.

— Hanka, Hanka!... — szeptał jednocześnie przerywanym głosem. — Wstawaj, tu płytko!...

Dziewczyna nie ruszała się; jej głowa, oblepiona splątaniem ciemnymi włosami, jej cudna zmartwiała twarz z zamkniętymi oczyma, jej spadziste silne ramiona i wysoka pierś odziana w jasną, cienką bluzkę, spoczywały już na ziemi, lecz cały tułów, nogi i sukienka pływały jeszcze po wodzie i nurt łagodnie je kołysał, nawracając z swym biegiem.

— Zabita!... — jęknął chłopak, pochylając się nad nią.

W tej chwili parę kul żałośnie gwizdnęło nad nimi i chlupnęło w mokrą glinę wybrzeża.

Chłopak zebrał resztkę sił, porwał dziewczynę pod rękę

i pociągnął w cień urwiska. Tu upadł obok niej wyczerpany śmiertelnie. Czas jakiś leżał odrętwiały, nie widząc i nie słysząc nic, aż ocuciło go zimno, wywołane obsychaniem ubrania oraz pluski miarowe i szmery na rzece.

— Pogoń!... — błysnęło mu w głowie. Usiadł i spojrzał ku przeciwnemu brzegowi.

Pod sklepieniem przygasłego, pociemniałego nieba łuna miasteczka gorzała równem, rubinowem światłem, jak odbłask już spokojnie jarzącego się zarzewia. Strzały karabinowe to cichły zupełnie, to wybuchały niespodzianie w różnych miejscach, niby wytryski podpalonych znieścacka rakiet, a razem z nimi potężniały szумы słabnącej ludzkiej wrzawy.

Rzeka blado połyskiwała w opadającym na nią zmroku, coraz wyraźniej wyświetlając gwiazdy. Pośrodku koryta chybotwała się mała łódeczka, z trudem przecinając naukos nurt. Za nią w krótkich przerwach grzmiały strzały i leciały jakieś dzikie okrzyki.

Młody żołnierz przyglądał się chwileczkę łódeczce, poczem znowu nachylił pospiesznie ku dziewczynie.

— Dyszy... dyszy!... — szepnął. — Żyje!... Hanko, Hanko, "wstawaj!... Prędko!... — Musimy się ukryć!... Niewiadomo, kto to płynie!... Pewnie pogoń... Schwytają nas. Rozumiesz? Schwytają!... — szarpnął dziewczynę gwałtownie za ramię; ta otwarła nagle oczy, ale nie ruszyła się.

— Boże, jak zimno!... Gdzie jestem? — jęknęła cichutko.

— Wstawaj, wstawaj!... Jesteśmy na chińskim już brzegu... Pobiegniemy do lasu, rozgrzejemy się... Tu mogą nas dostrzec... Ktoś płynie!... Słyszysz?...

Dziewczyna usiadła i spojrzała na rzekę.

— Tak, płyną... Dwóch... Mają karabiny... chodźmy, chodźmy, Władku!... Podaj mi rękę!

Chłopak zerwał się, pomógł dziewczynie powstać i, trzymając się za ręce, pochyleni ku ziemi, pobiegli w cieniu wzdłuż urwiska, szukając możliwego nań wejścia. Niedaleko usłyszeli bulkot wody i trafili na parów, raczej wąską szczelinę, porośłą głogiem, tarniną, jeżyną, po której dnie łały się spienione wodospady wiosennych roztopów. Zaczęli gramolić się brzegiem strumienia, czepiając się za gałęzie krzewów. Ale w połowie drogi, kiedy czuli się zabezpieczeni ciemnością, zaszydzieli w nieprzebytą gęstwinę, siły opuściły ich nagle i opadli ciężko na suchszy występ gruntu, aby dać wypoczynek zdyszczanym piersiom i omdlałym członkom.

Władek jednak niedługo pozostał bez ruchu. Gdy plusk wiosła rozległ się wyraźnie tuż u brzegu, uniósł się ostrożnie, rozgarnął gałęzie i spojrzał na rzekę. Czółno zdążyło do tego samego przyczółka, na który oni wyszli przed chwilą i było już odeń niedaleko, gdy za rzeką zaszczekał zajadle i niespodzianie tuż nad samą wodą kulomiot, nurt zapienił się dokoła stateczku i on sam jęknął głucho, zakołysał się i stracił równowagę. Jeden z cieniów, widniejących w czółenku, pochylił się bezwładnie na burtę, drugi żywo wyskoczył do wody i zanurzył prawie po szyję.

— Acha, jak to dobrze, że stamtąd uciekliśmy!... Zabiliby nas... Ale to nasi... Pójdę, pomogę im... — szepnął chłopak.

— Nie!... Nie!... Na Boga!... Nie chodź! Skąd wiesz, że to nasi? — odszepnęła dziewczyna.

— Tamci do nich strzelają. Nasi, napewno nasi! Pójdę...

Muszę iść... Bezemnie natychmiast utoną... Nie widzisz, jak przekrzywiła się łódka? Jeden w wodzie; może ranny!...

Szybko zsunął się po pochyłości, przytrzymując się wici krzewów, jak za sznury. Podchodząc do łodzi, trzymał się jednak wciąż w cieniu urwiska i trochę wyżej, gdyż karabin maszynowy nie przestawał kosić wody i piaszczystego odmiału. Mimo to łódeczka szybko posuwała się naprzód, ciągniona przez brodzącego w wodzie człowieka, który jednocześnie zakrywał się nią jak tarczą. Wreszcie stuknęła naukos o brzeg, nieznajomy, pełzający przy jej boku po mieliźnie, podniósł się szybko, korzystając z przerwy w strzelaniu i pochylił się nad leżącym w czółnie towarzyszem z widocznym zamiarem porwania go, gdy znów rozległ się klekot kulomiotu i sznur ołowiu chlastnął tak blisko od Władysława, że ten odskoczył napowrót w górę i ukrył się we wgłębieniu ziemi. Stamtąd wyjrzał ostrożnie po niedługiej chwili i dostrzegł, że drugi przybysz padł również twarzą na leżące ciało na burcie i nie rusza się więcej.

Księżyc wszedł i srebrny jego szlak legł na drżących nurtach tuż koło czarnej łodzi i czarnych, nieruchomych trupów.

Chociaż karabin maszynowy ucichł i nie odzywał się czas dłuższy, Władysław nie odważył się natychmiast zbliżyć do poległych z obawy, żeby go nie dostrzeżono z tamtego brzegu w blasku miesiąca. Wrócił drżący z zimna i przerażenia do towarzyszki.

— Zabili ich!... Ach, łotry!... Na samej granicy... I co im szkodziło, że uciekli, przecież nie byli im już groźni!?...

— Boże, Boże!... — łkała dziewczyna, zakrywając twarz rękami. — Kto to tacy? Nie poznałeś?... Nie wiesz?! Może kto

znajomy?...

— Nie wiem. Zdawało mi się przez chwilę, że Czarusznikow, ale nie wiem napewno... Bałem się zbliżyć, tam... niebezpiecznie! Chodź, Hanko, pójdziemy na górę... Na wszelki wypadek... Tam pewniej...

Dziewczyna nie ruszała się; pochylony nad nią słyszał, jak cichutko a rzewnie płacze dalej, a gdy położył rękę na jej ramieniu, poczuł, jak spazmatycznie drży i kurczy się cała.

— Mamo... mamó... ojczé... Dlaczego mnie nie zabito razem z wami?!... O, Boże, Boże!...

Chłopak poczuł, że gardło mu się ściska, że wewnątrz wszystko drzeć poczyna, jak u siostry. Ale oczy miał suche; młode serce zalewało mu po raz pierwszy trujące uczucie okropnej, zacieklej, mściwej nienawiści. Leżąc na wznak na wilgotnych mchach i przegniłym listopadzie, patrzył na przeświecające przez czarne gałęzie granatowe gwiazdziste niebo, lecz go nie widział.

Wstawały przed nim, scena za sceną, obrazy najazdu miasteczka. Dzika horda, dowodzona przez zbiegłych z więzień kryminalistów, uzbrojona w karabiny, kulomioty, szybkostrzelne działa, szalała pijana krwią, gorzałką, osiągniętą niespodzianie władzą; niszczyła, paliła i zabijała wszystko, czego dosięgła. Z drzeniem wewnętrznym przeżywał znowu gorączkę rozpaczliwej, beznadziejnej walki, widział tuż obok siebie ojca rozdartego odłamkiem granatu, matkę rozkrzyżowaną i przybitą bagnetami do ścian drewnianego domku, wołającą na nich przejmującym głosem: „Uciekajcie, uciekajcie!...”

Widział siostrę szarpaną, bitą, obnażoną przez zbrodniarzy,

z których rąk wyrwał ją z nadludzkim wysiłkiem... Pamiętał jak bił, kłuł, strzelał, gryzł nieledwie zębami... Ocaleli... uciekli... Są teraz na skraju puszczy nieprzebytych, w obrębie obcego państwa, wśród świata, z którym nie łączy ich nic, nic... Co dalej? Co czynić dalej?... Czy nie lepiej umrzeć, usnąć cicho, jak, ot, ci tam... w łodzi nad rzeką? Ten mózg płonący w obolałej głowie, to serce straszliwie trzepocące się w zduszonej piersi... przestaną nareszcie przypominać haniebne poniżające obrazy bezsiły dobra i sprawiedliwości, a triumfu zła...

Odwrócił twarz do ziemi i wtulił ją w pachnący grzybami i winem kobierzec miękkiej ściółki leśnej.

Zamknął oczy, pragnął usnąć, pragnął choć na króciuchno, choć na momencik odczuć cichy, kojący spokój, słodkie, bezgraniczne, wszystko chłonące zapomnienie...

Wtem jęk cichy, żałosny, proszący doleciał go zdołu. Podniósł głowę i nasłuchiwał... Cisza, przepojona monotonnym szmerem rzeki, a na jej tle od czasu do czasu wybuchy dalekiej wrzawy i pojedyncze strzały karabinowe...

— Przywidziało mi się!... — pomyślał. Przysiadł jednak i uszu pilnie nadstawił w stronę rzeki.

— Znowu ktoś płynie!...

Wyrzął przez okienko w gałęziach. Nie, niema nic!...

Rzeka jasna od poświaty miesięcznej lała się niczem nie zmaconą strugą mimo czarnego korpusu nieruchomej łodzi z dwoma trupami...

— Pewnie Hanka płacze!... — pomyślał i pochylił się znowu nad siostrą.

Spała cicho, równo i głęboko, więc znowu się na ziemi wyciągnął i próbował usnąć, gdy jęk tym razem bardzo wyraźny ocucił go... Bezwarunkowo jęczeli ci tam na dole... Widocznie nie zabici... Może ktoś bliski, przyjaciel, znajomy... Wszystko jedno: taki sam jak on zwyciężony obrońca prawa i sprawiedliwości!...

Gorące uczucie litości zalało mu serce; już się nie wahał; zerwał się na kolana i zaczął pospiesznie spuszczać po stromej pochyłości na dół. Cień urwiska, rzucony w blasku księżyca aż do samej wody, krył go przed oczami nieprzyjaciół z tamtego brzegu; zresztą był tak podniecony, że nie dbał o nich. Oni również przestali się widocznie zajmować przestrzeloną łodzią i nieszczęsną jej załogą. Strzały i krzyki odeszły od rzeki, gdzieś w głąb doliny...

Bez przeszkód dotarł Władysław do leżącego nawpół w łodzi, nawpół na piasku człowieka i poznał w nim odrazu kolegę ze szkoły i towarzysza z oddziału samoobrony, zorganizowanej naprędce przez miasto.

— Czy to ty, Badmajew? — zapytał, chcąc się ostatecznie upewnić.

— Tak, ja... Badmajew!... A ty kto? — odszepnął ranny, próbując obrócić się na bok. — Ach... Och!... Poznaję po głosie... To ty, Władja Korczak?... Jakże to?... Nie zabili cię?!...

— Nie. Uciekliśmy z siostrą w ostatniej chwili... Ojca i matkę zamordowali!...

— Widziałem. Ale Hanna Walentinowna jest?... Nie ranna?... Gdzież ona?... — żywo pytał Badmajew, znowu próbując się unieść.

— Och, och!... Jakże boli!... Dobrze mię te ścierwy

poczęstowały... Przeklęci!...

— Nie ruszaj się. Opatrzę cię, przeniosę sam. Gdzie jesteś ranny?...

— Nie wiem... W brzuch, czy w bok... Mam wrażenie, że cały jestem posiekany z jednej strony... Nic już ze mnie nie będzie, towarzyszu...

— Dlaczego?... Widziałem gorzej postrzelanych a wyleczyli się... Głowa cała, a to grunt... Pójdę po siostrę, zaniemiemy cię na górę... Rozpalimy ogień... Może masz zapałki, bo my nic nie mamy...

— Wszystko mamy. Wszystko jest w łodzi. Przygotowaliśmy się... Chcieliśmy popłynąć wdół rzeki, do Japończyków... Nie wiedzieliśmy, że wy tu jesteście... Cóż, kiedy się nie udało... Zbójce nie dopuścili... I co im szkodziło?... Tacy bezmyślni złoczyńcy... Nawet nie strzelaliśmy do nich, żeby nie drażnić... Nic nie pomogło... Nie darowali... Biedny Charłampie... ten już gotów!... Łódź przebili... Dlatego zawróciłem do brzegu... Na szczęście wy tu jesteście... Jedyna pociecha... — szeptał gorączkowo, jęczał, zgrzytał zębami i błyskał gorejącymi w ciemnościach jak karbunkuł oczami.

Korczak odpiął rannemu z pleców worek, rozluźnił mu pas i próbował uwolnić od ciężaru pełnych naboń ładownic, ale najmniejszy ruch tyle bólu sprawiał nieszczęsnemu, że ten wkrótce zaczął prosić:

— Daj pokój, daj pokój!... Niech choć umrę bez męki!... Idź po siostrę, chcę się z nią... pożegnać!...

Korczak tyle tylko zrobił, że go z łodzi przeniósł dalej od wody na suchy piasek, położył mu worek pod głowę i wrócił do rozpadliny, gdzie zostawił siostrę. Było tam ciemno jak

w piwnicy i nie odrazu znalazł Hanke, gdyż nie odzywała się na jego stłumione wołanie. Kiedy wreszcie trafił ręką na jej wtuloną w krzewy postać, serce zlodowaciało mu z trwogi, tak była nieruchoma i sztywna.

— Hanko!... — zawołał. — Hanko!...

Nie odpowiedziała mu.

— Umarła! — pomyślał i nagle brzemie straszliwej samotności zmiażdżyło budzącą się w nim energję

— Hanko!... — powtórzył rozpaczliwie. — Siostrzyczko!... — ukląkł kolo niej i rękę na piersiach położył: była ciepła i poruszała się łagodnie. Hanka spała snem głębokim, graniczącym prawie z katalepsją. Z trudem docucił się dziewczyny; zerwała się nagle drżąc, z okrzykiem grozy i — odepchnęła go precz od siebie:

— Kto?... Co?... Gdzie jestem?... Co tak ciemno?... Zimno!... Uuu!... — zadrżała.

— To ja, Haniu, ja... Władek!... Słuchaj, tam nad rzeką leży ciężko ranny Badmajew... Trzeba go opatrzyć. przenieść do lasu i ukryć... Inaczej rano zobaczą go i zaaresztują celnicy chińscy albo tamci go rozstrzelają z karabinu maszynowego... Chodź, siostrzyczko, pomóż mi...

Hania nie odrzekła słowa, lecz natychmiast dźwignęła się z ziemi, poprawiła cokolwiek na sobie mokre sukienki i popęzła za bratem na dół, przytrzymując się za gałęzie i korzenie krzewów.

Ostrożnie pęzli nadół. Po wyjściu z gęstwiny, Hania zatrzymała się i, spojrzawszy na pałającą za rzeką łunę, zakryła twarz rękami z żalonym szlochem. Brat schwycił ją za łokieć.

— Cicho, cicho, siostrzyczko!... Męstwa!... On umiera: słyszysz, jak jęczy?

— Słyszę. Chodźmy!

Poszła pierwsza, nie kryjąc się zupełnie i wkrótce uklękła przy umierającym.

— Jak się macie, Aleksandrze Wasilewiczu! Gdzie to ranni jesteście?

— Ach, to wy, Hanna Walentinowna!... Jak to dobrze, że przyszliście... Ze mnie to już nic nie będzie, nic... Rany nawet opatrywać niewarto!...

— Nie gadajcie głupstw! Gdzie ta rana? — pytała, prowadząc delikatnie ręką wzdłuż jego ciała.

— Doprawdy, że nie da się jej opatrzyć. Mam wrażenie, że cały bok mam wyrwany... Tutaj opatrunku nie można dokonać... Jak zaczniecie się ruszać, te kąty znowu do nas zaczną strzelać... Koszula przyschła, trzeba by ciepłą wodą... przy ogniu.. przy świetle... A przecież nawet w lesie ognia palić nie można... Zaraz blask chińskie straże zwabi... Dajcie pokój... tylko mi bólu narobicie... Ach, ach!... Jakże boli... Nie ruczajcie... Doprawdy niewarto... Godzinę wcześniej, godzinę później... Choć umrę, ziemia zostanie ziemią, kraj — krajem! Lepiej pogadajmy — dodał z bolesnym uśmiechem.

— Czy pamiętacie, Hanna Walentinowna — mówił dalej Badmajew — jakto niedawno jeszcze uczyliście mię tańczyć... Ha, ha!... Jakie to było zabawne?!... Ja, kanciasty Burjat, przebierający nogami, niby oszalała owca... Ha, ha!... Wyście się wtedy tak wesoło śmieli... I myśmy się też śmieli... że... że wy wybieracie się do... Polski... gdzie ciągły głód i ciągła wojna... że... lepiej tu u nas... na uboczu, na ustroniu...

w zaciszu, dokąd nie załatuje strzała z najtęższego łuku!... A tu!... Ha!... Zagrzmiało z czterech końców nieba... Ognisty ogier przeleciał... i... wszystko zdeptał... Ja-chaj!... Tak to u nas... Step otwarty na wszystkie strony świata!... Psy krwiożercze!... — majaczył.

Hanna tymczasem przy pomocy brata obróciła ostrożnie młodzieńca na bok i wtedy dopiero nietyle spostrzegła, co wyczuła pod dłonią olbrzymią lepką plamę na jego plecach — widocznie pocisk uderzył z przodu, a wyszedł tamtędy, wyrывая wielki szmat ciała. Rana broczyła już słabo, zapiekła się; nasiąknięta krwią odzież przywarła do niej jak puklerz. O opatrunku bez rozmoczenia tkanin ciepłą wodą i bez środków tamujących krwotok, mogący ponownie wybuchnąć, marzyć było niepodobna. Położyli więc znowu rannego nawznak, gdyż w tej pozycji czuł się najlepiej i rozmyślali, co robić.

— A co, mówiłem... — gadał dalej Badmajew, uśmiechając się boleśnie. — Niewarto!... Mam bandaże i opatrunki... Ale co?... Szkoda ich... Zobaczcie, są w łodzi... Charłampie, tęgi chłop, wszystko obmyślił, wszystko zdobył... Onby kamienicę z sobą nawet zabrał... On nie stepowy... przewidujący on... Cóż, kiedy... trup! Ha, ha!... Nic, nic!... Niech was to nie smuci!... Zostanie dla was... Gdyby nie podziurawili łodzi toby można popłynąć z wodą wdół rzeki, daleko... aż do Japończyków... I mnie moglibyście z sobą zabrać... Na to liczyliśmy, że do Japończyków... Cóż, kiedy w łodzi dziura... I jedno wiosło tylko zostało, trzeba drugie zrobić!... Upuścił je Charłampie, kiedy go... trach-tarach! Teraz wszystko dla was... Nie żałuję... Byliście dobrzy dla mnie, choć ja „mungał”, „kobyła morda”, „stwór bez duszy”... Od was ja nigdy tego nie słyszałem...

Dlatego lubiłem do was chodzić... A pamiętacie, Hanno Walentinowno, jak ja was uczyłem po burjacku konno jeździć... Tęga z was byłaby... Mongołka... Ha, ha!... I ojciec wasz, Walentin Stanisławowicz, i matusia wasza, Jadwiga Karłowna... też byli dla mnie dobrzy... Pamiętam a jakże... Zawsze mię herbatą częstowali, jak ja przychodził do Władi po książki... Mnie te książki wcale nie były potrzebne... tylko ja się tak przymawiał, żeby przyjść do was, zobaczyć, pogadać... Ha, ha!... Burjat chytry... Ha, ha!... — śmiał się i szeptał wespółzrytomnie urywane zdania.

Hanna płakała, klęcząc obok z twarzą zakrytą rękami, Władysław patrzył posępnie na wysrebrzoną księżycem rzekę i rubinową łunę pożaru poza nią. Nagle ranny, jakby otrzeźwiał, przestał jęczeć, podniósł głowę, spojrzął na kolegę, na płaczącą obok dziewczynę i zagadał cichym, ale stanowczym głosem:

— Uciekajcie. Wy, Hanno Walentinowno, musicie się przebrać za mężczyznę, inaczej... zginiecie! Po lasach dużo... wółczęgów... Chińczycy też... Musicie się przebrać... Niech Władja zdejmie zaraz ubranie z Charłampiewa... Ono mu już niepotrzebne... on już... u Boga! Musicie się przebrać, Hanno Walentinowno, musicie... Dajcie mi rękę... Ja, już umieram... My dawniej wojownicy byli... My umierać umiemy... To nic!... Tylko ja powiem teraz, czegobym nie śmiał... tylko wam powiem... Czy wy, wy... Hanna Walentinowna, nie czujecie... nie domyślacie się... Nic a nic... Tak, tak!... Do głowy wam nie przychodzi że ja... „mungał”, „kobyła mordą”... że ja... kochał się w was... do obłędu... do pijanego szału... kochał się w cichości; w skrytości... w beznadziejności... Nie chciał kochać a kochał... Teraz już nie wstyd powiedzieć... bo umrę... za

mgnienie oka umrę... Przecież ja łódź tę gotowałem, Charłampiewa namówił... żeby was wszystkich porwać, uratować... jak zobaczył że te zbóje górę biorą... Łódką wy już nie popłyniecie... Z tego nic... Więc wy idźcie na zachód... Do Mongołów, do Chałcha... Oni wolni teraz, oni silni... Oni was przyjmą... Tu pięćdziesiąt wiorst stąd wpada rzeczka... Charagoł... Trzecia stąd rzeczka wgórze... Tą rzeczką pójdziecie do źródeł, w góry... Tam koczują Dordzi... Po waszemu Dordżew... Bogaty Burjat spokrewniony z nojonami z Kerulenu... Pamiętasz, Władia, Dordżewaw gimnazjum — taki tępy, co nie chciał się uczyć... z trzeciej klasy go wyrzucono... On miał być... lamą... Może on już jest lamą... Ja nie wiem... Ale on jest synem tego bogacza, Dordżewa... Razbyście się do niego dostali... oniby was uratowali... Mongoł wdzięczny, Mongoł pamięta... Moglibyście wojnę u nich w spokoju przesiedzieć... Przyjmą was chętnie... Powiedzcie, że ja przysłałem... Wszystko opowiedzcie... Zresztą tam teraz każdy żołnierz, każdy karabin cenny... Stąd pilnować trzeba... Niech Hanna Walentinowna zaraz się przebierze... Niech nikomu, nawet staremu Dordżewowi nie mówi, kim jest... że... dziewczyna, a młodego poproście, żeby milczał... On was lubi, on nie powie... Mówcie, żeście żołnierze... Weźcie naszą broń, nasze ładunki... Wszystko weźcie... Niech... Hanna... nie... mówi, że jest... Zginie, zginie!... — powtarzał słabnącym głosem; wreszcie umilkł zmęczony i zakrył oczy. Hanna pochyliła się nad nim.

— My was, Aleksandrze Wasilewiczu, nie rzucimy tutaj, to darmo!... — szepnęła.

— Wtedy... wszyscy zginiemy!... Nietylko ja, ale i wy!... — oburknął prawie groźnie. — Nie chcę, nie chcę!... Zaraz

przebierzcie się, słyszycie, Hanno Walentinowno!... Wy nie znacie stepów, ale ja znam... zginiecie!... Chińczycy was złapią, a oni są okropni dla... kobiet... Im tu swoich niewolno sprowadzać, więc dla kobiet są... gorzej niż... tygrysy... Zaraz się przebieracie!... W łódce znajdziecie suchary, konserwy, kompas, mapę... Wszystko co trzeba... Zapałki... nawet krzesiwo i hubka... Wszystko jest... Charłampiew leśny człowiek, szkoda, że zmarł... Wyprowadziłby nas... Rozbierzcie go, połóżcie do czółna i czółno daleko odepchnijcie na wodę... Prąd go zabierze... Straże chińskie teraz tu nie przyjdą, bo się boją... po nocach oni nie chodzą... Ale we dnie, jak zobaczą łódź i w niej trupa w ubraniu, to zaraz zejną, żeby go obedrzeć... Nas wtedy zobaczą, po śladach wytropią... Więc trupa rozbierzcie, czółno zepchnijcie na głębinę, niech płynie!... Róbcie, co mówię... Dobrze radzę, dobrze. Badmajew w tajdze nie jest głupi!... Ha, ha!... — śmiał się boleśnie, głądził, majaczył, starając się ukryć i zwyciężyć ból.

Widząc, że nie ruszają się i spoglądają na siebie bezradni, dalej nastawał:

— Zróbcie co mówię... Rozbierzcie trupa, rzeczy z czółna wyładujcie... niech płynie... A wtedy, jeżeli już nie chcecie mię rzucić... To tu u brzegu gdziekolwiek opodal wykopujemy jamę i schowamy się... Łopatka też jest w łodzi... A jakże, nic nie zapomnieliśmy... Ha!... Więc co?... Jeszcze namyślacie się... ludzie miastowi!... Prędko, ja już... niedługo... nie mogę czekać!

Znów umilkł wyczerpany. Hanna położyła mu rękę na ustach:

— Cicho już, dosyć!... Za dużo mówisz!... Zrobimy, co radzisz... Nie męcz się!... Wszystko zrobimy, co radzisz... Nie męcz się!... Wszystko zrobimy!...

Ranny uśmiechnął się blado.

— Spieszcie się. Księżyc niedługo tu sięgnie i nas oświeci...
Zobaczą nas z tego i z tamtego brzegu...

Władysław spojrział na niebo i dostrzegł z przerażeniem, że księżyc istotnie wychodzi z poza gór, że gzymsy urwisk i szczyty lasów już zaczęły się pokrywać srebrną pobiałą światłości. Wkrótce blask miesiąca opłynął tył łodzi i opromienił nurty szemrzące pod nim i czarne cielsko zwisającego z burty kozackiego trupa.

Zbieg zrozumiał nagle całą doniosłość, całą słuszność uwag krajowca, powstał i ruszył ku rzece.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

